



AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

NIEZŁOMNA

ZACHOWAŁA GODNOŚĆ W ŁAGRACH



FRONDA

NIEZŁOMNA

W serii „Kresy” dotychczas ukazały się:

Marek Koprowski – *Kresy we krwi*

Agnieszka Lewandowska-Kąkol – *Na skraju piekła*

Stanisław Srokowski – *Strach*

AGNIESZKA LEWANDOWSKA-KĄKOL

NIEZŁOMNA

ZACHOWAŁA GODNOŚĆ W ŁAGRACH

FRONDA

[Kup książkę](#)

Okładka
Radosław Krawczyk

Redaktor prowadzący
Bartłomiej Zborski

Redakcja i korekta
Hanna Śmierzyńska

Skład i łamanie
TEKST Projekt, Łódź

Copyright © by Agnieszka Lewandowska-Kąkol
Copyright © by Fronda PL, sp. z o.o.

ISBN 978-83-64095-62-7

Wydawca
Frona PL, Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22 836 54 44, 877 37 35
faks 22 877 37 34

e-mail: fronda@fronda.pl
www.wydawnictwofronda.pl
www.facebook.com/FronaWydawnictwo

Sybiraczkom

OD AUTORKI

Czy tylko wrodzone cechu charakteru sprawiły, że bohaterce tej książki udało się dokonać tak wielu niezwykłych czynów? Czy tylko one pozwoliły jej przez szesnaście lat, bo tyle czasu trwała dla niej druga wojna światowa, zachować bezkompromisową postawę i w ekstremalnych warunkach myśleć przede wszystkim o innych i o ojczyźnie, a nie o sobie?

Gdy rozpoczyna się ta opowieść, Anna ma piętnaście lat. Ta jeszcze dziewczynka od pierwszych minut działań wojennych postępuje jak doświadczony przez życie człowiek. Od początku sama, bez niczyjego nakazu, bierze na siebie nie lada ciężar – brzemień obrony ojczyzny, która jest dla niej równie ważna, jak najbliżsi członkowie rodziny.

Tych, trudnych dziś do zrozumienia, uczuć nie przyniosła ze sobą na świat, lecz zostały jej wpojone w polskim, kresowym domu, stworzonym przez kochającą siebie i innych rodzinę, a także przez mądrze funkcjonującą wówczas organizację, jaką był Związek Harcerstwa Polskiego. Trzecim źródłem jej niewiarygodnej siły woli i odwagi była głęboka wiara w Boga, która, choć w najtrudniejszych momentach bywała zagrożona, przetrwała do końca.

Inne czasy, inne trudności, inne zadania, ale osobowości takich jak Anna Kłos potrzeba zawsze i wszędzie. Czy dziś potrafimy wychowywać podobnych jej ludzi?

„Niezlomna” powstała jako bezpośrednie następstwo poprzedniej publikacji „Na skraju piekła”. Syn, wnuk i siostrzeniec w jednej osobie bohaterów opowiadania tam zamieszczonego podarował mi bowiem wspomnienia Anny Górskiej-Kłos, które stały się podstawą dla napisania tej książki. Za ten wspomniały dar Panu Markowi Hackemerowi serdecznie dziękuję.

Agnieszka Lewandowska-Kąkol

ROZDZIAŁ I

Dniało już, kiedy Anna zasnęła. Po raz pierwszy od kilku dni zdołała uciec od strasznej rzeczywistości. Nie spała długo, ale te trzy godziny wyrwały ją z koszmaru na tyle, że przez krótką chwilę po przebudzeniu nie pamiętała jego źródła. Niestety, pełna świadomość szybko wróciła i znów łzy zakręciły się w jej wymęczonych płaczem, przekrwionych oczach. Przy każdym poruszeniu powiekami czuła, jakby duże ziarna piasku przesuwwały się pod nimi z miejsca na miejsce. Niemal nie używała już chusteczki, bo zbyt szybko stawała się całkiem mokra, jeszcze bardziej podrażniając oczy. Przyzwyczaiła się do tego niezbyt ostrego widzenia, które jej nie przeszkadzało, gdyż wszystkie konieczne czynności wykonywała zgoła mechanicznie, bez dbałości o szczegóły. Nie było już po co troszczyć się o cokolwiek, skoro... Sześć dni wcześniej straciła matkę. Zabrała ją nieuleczalna choroba. Przez długi czas jej trwania życie rodziny toczyło się wokół jednego łóżka, rozplanowane było szczegółowo pod kątem nieustannej opieki. Teraz brakowało tego jasno wytyczonego celu, którego realizacja, choć absorbująca, dawała poczucie stabilizacji i naczelnego sensu. Jednak

15 października 1938 roku Annie zabrakło ukochanej ponad wszystko osoby. Miała wówczas piętnaście lat i świat runął jej na głowę. Mimo że nie była jedynaczką, miała starszą siostrę i dużo starszego brata, straciła nie tylko jednego z rodziców, ale życiową opokę – przyjaciółkę, powierniczkę, kogoś, z kim rozumiała się najlepiej. Była towarzyska, przez większość dnia otoczona rówieśnikami, ale ta najważniejsza w jej dotychczasowym życiu więź została zerwana. Nie istniały słowa pocieszenia, które zmniejszyłyby jej cierpienie. Ból ćmił cały czas, ale ze szczególną ostrością dawał o sobie znać przy każdym wspomnieniu, kiedy to przed oczyma Anny ukazywała się wysoka, postawna kobieta o ciemnych włosach, szarzielonych oczach i promiennym, uspokajającym uśmiechu. Ten uśmiech sprawiał, że wszelkie troski traciły na znaczeniu, a świat wydawał się oferować same pogodne dni. Anna cierpiała nie tylko psychicznie, lecz też fizycznie, ból wdzierał się w każdy zakamarek jej organizmu, przeszywał całe ciało, spotęgowany świadomością, że jest odporny na najsilniejsze leki uśmierzające. Matka była głęboko wierząca i ta ufna, wyzbyta wątpliwości wiara udzieliła się również Annie. Niemniej teraz i ona nie niosła pocieszenia. Mijały dni, tygodnie, miesiące, a Anna i jej siostra Jadwiga nadal wiele czasu spędzały przy grobie. Nastąpiło wyjątkowo piękne lato 1939 roku. Drugi miesiąc wakacji już się rozpoczął, a one wciąż nie miały ochoty na normalny odpoczynek, nie zamierzały gdziekolwiek wyjeżdżać, przyzwyczajone do codziennego przemierzania drogi na cmentarz. Ich ojciec, nie chcąc, żeby przygnębienie córek dalej się pogłębiało, postanowił wbrew ich zdaniu wyrwać je z dotychczasowego otoczenia i zorganizował im dwutygodniowy wyjazd. Pod opieką pani Janiny, dobrej znajomej rodziny, która wzięła ze sobą córkę Marysię, ich koleżankę, pojechały na wycieczkę obejmującą zwiedzanie Częstochowy, Zakopanego i Lwowa.

Wszystkie te trzy miejsca były im nieznane i zafrapowały je, każde czym innym. Dla Anny największym przeżyciem było zwiedzanie Jasnej Góry, a przede wszystkim uczestnictwo w mszy połączonej z odsłanianiem obrazu Matki Boskiej Częstochowskiej, znanego jej tylko ze świętych obrazków, jakie dostawały od księdza, gdy przychodził po kolędzie. Kiedy rozbrzmiały fanfary towarzyszące tej ceremonii, wielu ludzi spośród zgromadzonych w kaplicy zaczęło głośno szlochać i polecać opiece Matki Bożej ojczyznę. Mimo oficjalnej tendencji lekceważenia napiętej sytuacji politycznej zdawano sobie bowiem sprawę, że groźba wojny jest realna. Anna także poczuła, iż po twarzy spływają jej łzy, ale w jej przypadku wywołane innym, bardzo osobistym problemem, z którym od wielu miesięcy nie potrafiła sobie poradzić. Nieśmiało podniosła oczy i patrząc na Czarną Madonnę, wyszeptała: „Zdrowaś Maryja, bądź moją orędowniczką, pocieszycielką i pomocą we wszystkich dniach mego przyszłego życia. Daj mojej mamie życie wieczne, spraw, by była szczęśliwa i bym czuła, że choć od czasu do czasu jest przy mnie, że z Twoją pomocą nade mną czuwa”. Po tej żarliwej modlitwie, odmówionej w ogromnym skupieniu, któremu szczególnie sprzyjała atmosfera sanktuarium, Anna poczuła się tak lekka, jak gdyby zrzuciła z siebie kamień przez ostatnie miesiące nieustannie obciążający każdy jej krok i wszelkie działania. Nie pozbyła się uczucia ogromnej straty, nadal miała jej świadomość, jednak bez buntu się z nią pogodziła pod wpływem nieznanej jej dotąd tklivości i specyficznego ciepła, które zawsze towarzyszyło jej kontaktom z matką. Po raz pierwszy od jej śmierci poczuła, że ona tak całkiem nie odeszła, że na zawsze pozostała w niej i że nadal może na nią liczyć. Wyszła z kościoła inna, niż doń weszła, a przemiana, jaka dokonała się w jej wnętrzu, musiała się odbić również na jej twarzy, skoro pani Janina stwierdziła:

– Aniu, jak ci błyszczą oczy, już dawno nie widziałam cię w tak dobrym humorze.

Następnego dnia pojechwały do Zakopanego, o którym wiele opowiadała jej mama, bo jako dziecko często jeździła tam na wakacje. Zamieszkały w willi „Uroczej”, malowniczo położonej na zboczu góry. Giewont, Kasprowy Wierch, Czarny Staw, Morskie Oko, Dolina Strążyska – wszystkie te niezwyklej urody miejsca widziały po raz pierwszy i Anna wciąż nie mogła wyjść z podziwu nad potęgą Natury i Tego, który ją stworzył. Widoki te pogłębiały jej wiarę, umacniały w przekonaniu wyniesionym z Jasnej Góry i utwierdzały w pogodzeniu się z losem. We Lwowie cztery podróżniczki zawitały do narzeczonej brata Ani i Jadwigi – Marysi Koprowskiej, która, uradowana odwiedzinami, chętnie pokazała im miasto. Największe wrażenie zrobiła na nich Panorama Raclawicka. Do tego stopnia zafascynowała Annę, że postanowiła pójść tam jeszcze raz sama następnego dnia, by przyjrzeć się interesującym szczegółom, których nie zdołała ogarnąć przy pierwszym oglądaniu. Niestety planu nie udało się zrealizować i już nigdy nie było jej dane zobaczyć tego niezwykłego dzieła. Po dwóch tygodniach zaplanowanego, spokojnego, relaksującego podróżowania nagle, mimo wszystko, wypadki potoczyły się z prędkością spadającej z wysoka lawiny. Wieczorem, kiedy spacerowały po placu Mariackim ubrane w harcerskie mundury, które przy każdej okazji lubiły z dumą nosić, podszedł do nich kapitan Wojska Polskiego i zapytał:

– Druhny, jesteście lwowiankami?

– Nie – odpowiedziały niemal jednocześnie. – Przyjechałyśmy z Baranowicz.

– Ojej, aż z tak daleka – powiedział z niepokojem w głosie.

– Musicie jak najszybciej wracać do domu, bo niebawem wybuchnie wojna!

Wiadomość tę przyjęły z niedowierzaniem, ale skoro pochodziła od oficera Wojska Polskiego, nie należało jej lekceważyć. Z postanowieniem jak najszybszego wyjazdu poszły pożegnać się z Marysią. Żadna z nich nie mogła przypuszczać, że było to pożegnanie ostateczne. Marysia zginęła w pierwszym dniu wojny. Podczas kopania rowów przeciwlotniczych trafił ją niewielki odłamek bomby. Był to pierwszy nalot bombowy dokonany na Lwów.

Na dworcu stwierdziły, że nie tylko druhom ZHP przekazano alarmującą wieść. Wszystkie pociągi odjeżdżały tak przepełnione, że wyglądały jak miejskie tramwaje w godzinach szczytu. Mimo wielu prób nie zdołały dostać się do środka wagonu, więc część drogi przebyły siedząc na jego dachu. Dopiero po kilku stacjach, kiedy wewnątrz się nieco rozluźniło, żołnierze pomogli im wejść do korytarza. Wieczorem 30 sierpnia, zmęczone, ale pełne wrażeń, znalazły się w Baranowiczach.

Anna lubiła się uczyć i początek roku szkolnego był zawsze dla niej radosnym świętem. Tego pierwszego września wybiegła z domu nieco wcześniej niż zwykle, gdyż ze względu na chorobę drużynowej, Lili Politykównej, miała jako jej przyboczną zaprowadzić drużynę do kościoła. Właśnie zbliżała się do budynku szkolnego, gdy zatrzymał ją mężczyzna z białoczerwoną opaską.

– Niech panienka wraca do domu. Niemcy wypowiedziały Polsce wojnę!

Stanęła jak wryta, choć przecież właśnie w przewidywaniu tego wydarzenia skróciły swój pobyt we Lwowie. Szybko otrząsnęła się jednak z odrętwienia i mimo zakazu pobiegła na szkolne podwórko. Od wczesnego dzieciństwa miała rogałą duszę i wszystko lubiła sprawdzić sama. Nie dlatego, by innym nie ufała, ale... no, taka już była. Na dziedzińcu zastała

ledwie kilkoro harcerzy, zawróciła zatem do domu. Ten sam człowiek z opaską polecił jej, by wezwała młodzież z okolicy do kopania schronów przeciwlotniczych. Zgłosiło się bardzo dużo chętnych. W czasie prac, tuż po południu, zaskoczyło wszystkich wycie syren, a niedługo potem po raz pierwszy usłyszeli nadlatujące bombowce. Już pierwszego dnia wojny mieszkańcy Baranowicz przeżyli bombardowanie. Miasto, liczące tuż przed wojną około trzydziestu tysięcy mieszkańców, było największe w województwie nowogrodzkim i stanowiło ważny węzeł komunikacyjny. Działała w nim duża rozgłośnia Polskiego Radia i stacjonowały 78. pułk piechoty, 20. pułk artylerii lekkiej, 9. dywizjon artylerii konnej, 26. pułk ułanów i Korpus Ochrony Pogranicza. Choć w koszarach już prawie nikogo nie było, gdyż żołnierze wyruszyli na wojnę, stanowiły one ważny cel dla wroga. Wiele bomb posypało się także na radiostację, dworzec i państwowe urzędy, w tym Urząd Skarbowy, gdzie pracował brat Anny – Kazimierz. Natychmiast po odwołaniu alarmu Anna i Jadwiga pobiegły tam, by sprawdzić, co się z nim dzieje. Oczom ich ukazały się ogromne leje po pięciu bombach, a z gruzów wynoszono wiele ciał. Słysząc też było jęki rannych. Znajomy urzędnik, zapytany o Kazia, oznajmił, że widział go wśród zabitych. Na szczęście zaraz po tej wieści, nim w pełni zdołała do nich dotrzeć, zauważyły brata z trudem wydobywającego się spod zawalonych schodów. Był brudny, w poszarpanym ubraniu, zszokowany, ale ciągnął za sobą walizki z państwowymi pieniędzmi, które udało mu się w ostatniej chwili pochwycić. Dopiero po przekazaniu ich naczelnikowi urzędu i komendantowi policji mógł z siostrami udać się do domu. Tuż przy budynku Urzędu Skarbowego stała figura Matki Boskiej. Była otoczona lejami wyrwanymi przez bomby, ale żaden jej element nie został naruszony. Kolejne dni przyniosły następne

bombardowania, co najmniej jedno dziennie. Mieszkańców ogarnęła panika i większość zaczęła uciekać z miasta do lasu. Zaraźliwa psychoza dotknęła i rodzinę Anny. Kiedy byli mniej więcej w połowie drogi, nadleciały niemieckie samoloty i zaczęły strzelać do bezbronnych tłumów. Ludzie padali wokół jak ścinane kłosa. Wielu już na zawsze. Słychać było krzyki i przerażliwe jęki rannych. Tak dojmujących dźwięków Anna dotąd nie słyszała. Wwiercały się w samo serce, zdające się pod ich wpływem zamierać. Szybko musiała jednak wziąć się w garść. Była wszak harcerką, zobowiązaną do niesienia pomocy. Na zbiórkach uczono ich trochę, jak zachowywać się w takich sytuacjach i jak opatrywać rannych, by pomóc im, a nie zaszkodzić. Zobaczyła mężczyznę leżącego na ziemi, z wykrzywioną bólem twarzą. Spod jego nogi wyciekała struga krwi, która napotykać na nierówności chodnika, zebrała się w całkiem już pokaźną kałużę. Anna nie miała ze sobą apteczki, więc zdjęła z szyi apaszkę, podarowaną jej przez matkę na miesiąc przed śmiercią, i mocno zawiązała ją nad miejscem, gdzie prawdopodobnie znajdowała się rana. Nim zdążyła zaobserwować, czy krwawienie ustało, na miejscu pojawiły się ekipy sanitarne. Jeden z lekarzy podziękował potem Annie i innym harcerzom uczestniczącym w akcji ratunkowej. To wydarzenie skłoniło ojca Anny do zawrócenia z rodziną do domu, miejsca według niego znacznie bezpieczniejszego. Annie właściwie było wszystko jedno, gdzie przebywa, byle być użyteczną, pomagać potrzebującym, działać. Szybko okazało się, że kopane ofiarnie schrony nie zdały egzaminu, zawały się przy lada wstrząsie, toteż najczęściej ludzi chroniło się w czasie nalotów w o wiele bardziej odpornych piwnicach. Szczególnie wyczerpujące psychicznie były nocne bombardowania. Podczas jednego z nich, mimo sprzeciwów rodziny, Anna postanowiła zostać w domu. Gdy jednak bomby zaczęły padać bardzo blisko

i huk stał się trudny do zniesienia, zerwała się z łóżka, narzucała na siebie tylko koc i wybiegła do ogrodu. Było widno jak w dzień, bowiem z samolotów zrzucono świetlne rakiety. Nagły świst i błysk zmusiły ją do rzucenia się na ziemię. Odłamki cięły powietrze. Po chwili, kiedy zrobiło się cicho, dobiegła do piwnicy, gdzie wyglądano jej z ogromną obawą, starając się wypierać z wyobraźni ponure scenariusze. Po odwołaniu alarmu Anna, wiedzioną przeczuciem, iż cudem uniknęła śmierci, poszła do domu. Miała niemal pewność, że to właśnie tam spadła bomba, której odłamki minęły ją o włos. Rzeczywiście, róg domu był zwalony, a jej łóżko stało na sztorc, uniesione przez odkształconą podłogę. Uszkodzona też została część ściany, przy której stało, i fragment dachu. Po raz pierwszy tej wojny poczuła się wybranką Matki Boskiej i myślami powróciła do wizyty na Jasnej Górze. Jeszcze tego samego dnia pobiegła do kościoła i długo klęczała przed obrazem Chrystusowej Matki.

Piętnastego września zaroilo się w Baranowiczach od żołnierzy polskich, uciekających z frontu północnego, gdzie stoczyli bitwę z Armią Czerwoną, w okolicach miast Głębokie i Mołodeczno. Mieszkańcy spontanicznie pomagali im w ramach swych, często już bardzo ograniczonych, możliwości. W domu Anny schroniło się siedmiu oficerów. Trzeba było ich napoić, nakarmić, ale najważniejsza dla ich bezpieczeństwa była zamiana polskich mundurów na ubrania cywilne. Na szczęście Kazimierz i jego ojciec mieli sporo odzieży, więc dla każdego starczyło. Potem Anna z żalem zakopała za domem pięknie dla niej wyglądające mundury. Wielu z żołnierzy, którzy z mundurami nie chcieli się rozstać, znalazło się w Kozielsku czy Katyniu.

Siedemnastego do miasta wkroczyły oddziały Armii Czerwonej, której żołnierze wyglądali nie jak zagarniający kolejne

połacie ziemi zdobywcy, lecz jak zaszcuci, obdarci i brudni uciekinierzy. Kampanię propagandową prowadzono za to w wielkim stylu. Na płotach i słupach porozwieszano plakaty, utrzymane w tonie triumfalnym, zawiadamiające o miażdżącym zwycięstwie wojsk radzieckich i zajęciu przez ZSRR wschodnich terenów Polski. W rozlepianych odezwach namawiano polskich żołnierzy do wstępowania do Armii Czerwonej, która niesie światu ustrój powszechnej szczęśliwości, oraz do rozprawiania się z polskimi oficerami, zawsze ponoć wrogimi wobec prostych żołnierzy. W jednej z najbardziej popularnych odezw, podpisanych przez naczelnego dowódcę Frontu Białoruskiego Michała Kowalowa, przeczytać można było, w języku trudnym do zrozumienia, między innymi takie odkrywczyste stwierdzenia: *„Polsko-burżuazyjny rząd polski, wciągając was w awanturystyczną wojnę, pozornie przewaliło się (...) potężny Związek Radziecki wyciąga ku wam ręce w braterskiej pomocy (...) idziemy do was, jako wasi bracia po klasie, jako wasi wyzwolenicy od ucisku obszarników i kapitalistów. Rzućcie broń! Przechodźcie na stronę Armii Czerwonej! Wam zabezpieczona swoboda i szczęśliwe życie”*. Bezczelnie prowadzony, perfidny proceder skłócania polskiej armii nie udał się i plakaty, szybko zrywane ze słupów, przestały się pojawiać. Władze okupacyjne zlikwidowały w Baranowiczach polskie gimnazja, przekształcając je w dziesięciolatki. Na pokaz, by popisać się tolerancją, obok rosyjskich i białoruskich dziesięciolatek zorganizowano jedną polską. Jako że była tylko jedna, a przeważająca część mieszkańców dziedziczyła gorący patriotyzm jako najcenniejszą część spadku po antenatach, niezwykle trudno było się do niej dostać. Annie udało się to tylko dlatego, że wstąpiła do zespołu pieśni i tańca założonego przy szkole. Zaprawiona w społecznej działalności, szybko się tam zaaklimatyzowała i z dużą werwą śpiewała i tańczyła, czasem nawet

niewielkie solówki. Wkrótce rozpoczęły się aresztowania i wywożenie całych rodzin na wschód. Co bardziej zapobiegliwi kładli się spać, mając pod ręką spakowane tobołki, by w razie czego wziąć ze sobą choć trochę ciepłych ubrań i chleba. Anna często podchodziła do szczelnie zapelnionych wagonów, stojących długie dni na stacji, by znękanym ludziom dać coś do picia. W odpowiednim momencie udawało jej się znikać niezauważenie. Poszła tam jednak kiedyś w towarzystwie koleżanki mniej ostrożnej oraz nie tak szybkiej i wróciła sama, bowiem tamtą momentalnie zamknięto w jednym z wagonów, a potem, można rzec przypadkowo, wywieziono. Nastąpiły dni prześląknięte specyficzną atmosferą towarzyszącą zwykłe zmianie okupanta. Wśród Rosjan panowało ożywienie podobne do niecierpliwych ruchów ptaków zwołujących się przed zimowym odlotem. W gimnazjum Anny pośpiesznie wydano wszystkim uczniom świadectwa szkolne. Wreszcie przecucia stały się faktem. Rosjanie zaczęli wycofywać się z miasta, ale chcąc na koniec dobitnie zaznaczyć, że nie uciekają, lecz strategicznie się przemieszczają, a rządzą nadal, zabrali ze sobą tysiące więźniów. Po większości ślad zaginął.

W drugiej połowie czerwca 1941 roku do Baranowicz wkroczyły wojska niemieckie. Po chwili ulgi, pewnego zamieszania i zawsze niepoprawnie rodzącej się nadziei, którą przynosiła każda zmiana, rozpoczęły się pierwsze aresztowania. W Baranowiczach zaczęła intensywną działalność Polska Organizacja Podziemna.

– W obliczu Boga Wszechmogącego i Najświętszej Marii Panny Królowej Korony Polskiej, kładę rękę na ten Święty Krzyż, znak Męki i Zbawienia, i przysięgam, że będę wiernie i nieugięcie stała na straży honoru Polski, o wyzwolenie jej z niewoli walczyć będę ze wszystkich sił moich, aż do ofiary z mego życia. Wszelkim

rozkazom będę posłuszna, a tajemnicy niezłomnie dochowam, cokolwiek by mnie spotkać miało.

– Przyjmuję cię w szeregi żołnierzy wolności, obowiązkiem twoim będzie walczyć z bronią w rękę albo w inny sposób o odzyskanie Ojczyzny. Zwycięstwo będzie twoją nagrodą, zdrada będzie ukarana śmiercią.

Serce Anny, wypowiadającej słowa przysięgi, waliło jak oszalałe. Był sierpień 1941 roku. W Armii Krajowej działała już dwa miesiące, ale dopiero po kilku próbach, które wykazały, że nadaje się do pracy konspiracyjnej, oficjalnie przyjęto ją w szeregi podziemnej armii, czego dokonała podporucznik Hala Jaroszewiczówna ps. Wrzos. Mimo swych niespełna osiemnastu lat Anna, od dawna z zapałem i mądrą energią poświęcająca dużo czasu harcerskiej aktywności, z wielką powagą przeżyła moment zaprzysiężenia. Od tamtej chwili przez całą wojnę, a dla niej był to okres wyjątkowo długi, czuła ogromną odpowiedzialność za losy kraju, dokonując dlań czynów, które wydawały się wykraczać poza możliwości najsilniejszego fizycznie i psychicznie człowieka. Szczupła, niewysoka dziewczyna o jasnych lokach swobodnie spadających na ramiona i ujmującym szerokim uśmiechu swym hartem, wytrwałością i nadzwyczajną determinacją zadziwiała kolegów, żołnierzy i dowódców. Z niedowierzaniem patrzyli na nią nawet ci znajdujący się po drugiej stronie barykady, która stała się dla niej nie tylko wyraźnym odgródnieniem od wroga, ale i od wszelkiego zła, panującego także i po jej stronie.

Po dwóch latach od pamiętnej wizyty na Jasnej Górze rozpoczął się nowy etap w życiu Anny ps. Kłos. Kilka godzin po zaprzysiężeniu otrzymała od kapitana Józefa Kartacza pierwszy oficjalny rozkaz. Miała postarać się o pracę w drukarni, bowiem do konspiracyjnych poczynąń potrzebne były najrozmaitsze druki. Udało się jej, i to nawet szybko. Zatrudniono ją przy

przyjmowaniu zamówień od jednostek cywilnych i wojskowych na przepustki, ausweisy, dowody osobiste, kartki żywnościowe, a także, co było odrębnym działem drukarni, na pieczętki. Mimo że drukarnia należała do Niemców, pieczętki wytwarzał mieszkający w getcie Żyd, od dłuższego już czasu współpracujący z polskim podziemiem i zorientowany w zadaniach Anny. Pewnego dnia rozeszła się wieść, że Niemcy rozpoczęli okrutną i na szeroką skalę zakrojoną akcję systematycznego mordowania Żydów w getcie. W krótkim czasie blisko połowa z nich została rozstrzelana, po czym dla oszczędności zmniejszono teren ogrodzony drutami. W wyniku tych zmian obszar zaczął być ściślej strzeżony i przyszedł moment, kiedy specjalistę od pieczętek przestano wypuszczać do pracy. Akurat wtedy podziemie czekało na pieczętkę niezwykle istotną dla przeprowadzenia konkretnej, od wielu dni planowanej akcji. Anna miała spróbować zbliżyć się na tyle do granic getta, by ich człowiek był w stanie przekazać jej potrzebną pieczętkę, zakładając optymistycznie, iż w tym wielkim zamęcie udało mu się ją przygotować. Na słupie wkopanym tuż przed drutami kolczastymi przeczytała wykaligrafowane dużymi literami ostrzeżenie: „Zabrania się wszelkich rozmów i przerzucania czegokolwiek przez ogrodzenie. Straż ma prawo strzelać bez uprzedzenia!”. Wzruszyła tylko ramionami, dodając sobie tym gestem wewnętrznej otuchy i całą uwagę skoncentrowała na centralnym placu getta. Znajdowało się na nim wielu ludzi, ale ona miała nadzieję wypatrzyć tę jedną, charakterystyczną, przygarbioną sylwetkę. Po kilku minutach badawczego rozglądania się dojrzała znajomego Żyda. To jednak był dopiero pierwszy krok. Teraz najważniejsze było, by i on ją zobaczył. Podeszła tuż pod kolczaste druty i nieznacznie, zerkając we wszystkie strony, zamachała ręką. Pewnie i on czekał na ten kontakt zza drutów, gdyż spostrzegł ją od razu i w dodatku, co zauważyła z radością, w dłoni trzymał

paczuszkę. Niosąc ją za sobą, nieznacznie zbliżył się do ogrodzenia, po czym błyskawicznym, zdecydowanym i silnym ruchem ręki przerzucił ją przez druty. Anna musiała nieco do niej podbiec. Gdy pieczętkę podniosła i schowała do kieszeni, usłyszała za sobą: „Halt!”. To niemiecki strażnik już unosił karabin. Nie było wyjścia, zaczęła uciekać, szybko przedostała się na przeciwną stronę ulicy i dopiero wtedy usłyszała strzały. Była już jednak poza ich zasięgiem. Dobiegła do domu Heli Jaroszewiczówny. Ta natychmiast otworzyła drzwi do komory pieca i kazała Annie wejść do niego, po czym szczelnie znów go zamknęła. Okazało się, że znalazła się w tunelu wykopanym przez Żydów z getta, gdy stało się jasne, że Niemcy szykują akcję likwidacyjną. Rozpoczęła się ona jednak tak niespodziewanie, że nie zdążyli go wykorzystać do ucieczki. Tunel był długi, z wyjściem przy cementarnej bramie. Bracia Heli przechowywali w nim granaty i amunicję, na które natknęła się Anna, kiedy zgięta wpół postąpiła kilka kroków. Pomyślała, że w razie czego ma czym się bronić. Było ciemno, zimno, ale trzęsła się bardziej z emocji, tracąc zupełnie poczucie czasu. Nagle coś musnęło jej ramię. Teraz zrobiło się jej gorąco, przeżegnała się i już wyciągała rękę po jeden z karabinów, gdy zobaczyła nietoperza, który spłoszony chciał wyrwać się z tunelu. W tym czasie na górze trwała szczegółowa rewizja. Kilka minut po tym, jak Hela zamknęła za Anną drzwi pieca, wpadło do jej domu dwóch gestapowców, wrzeszcząc, że dziewczynę, którą gonili, stracili z oczu na wysokości domu Heli. Ta, trzymając w ręce szmatę, stwierdziła, że przez okno się nie gapi i nie obchodzi jej, co dzieje się na zewnątrz, bo właśnie myje podłogę. Przetrzęsnęli wszystkie zakamarki i pobiegli szukać dalej. Anna po wyjściu z pieca przypominała kominiarza przy pracy, ale mimo to dziewczęta rzuciły się sobie w objęcia, dziękując Bogu za pomyślne wyjście z opresji. Sprawa nie była jednak zakończona, bo trzeba było jeszcze dostarczyć